

Juliusz Verne winowajca.

Ach! Ten Juliusz Verne! Zawdzięczam mu niejedną dobrą godzinę w moim dzieciństwie, ale jest to literatura niebezpieczna dla małych mieszczuchów, którzy nigdy nie wysunęli nosa ze swej skorupki i różnią się krańcowo od śmiałych chłopców portowych, rosnących na swobodzie, między kamieniami, w ożywczym powietrzu morskim.

Do lat dwunastu, ja, nie przekroczyłem progu magazynu mego wuja i opiekuna, Honorjusza Laplume, mieszkającego stale przy ulicy Saint-Denis, po którym miałem obijać, doświadczywszy do lat dojrzałych, zawód bandażysty, uprawiany z ojca na syna przez wszystkich Laplume'ów od stulecia, jak głosił o tem miedziany szyld, dumnie panoszący się nad naszymi drzwiami.

Kuszaca ta perspektywa uśmiechała mi się średnio. Miałem już wówczas bowiem ducha cygańskiego w sobie i moje uczelki do skweru „Arts-et Metiers“, oddalonego o setkę metrów zaledwie, doprowadzały do rozpaczycnego opiekuna mego, który uważał że natłoczony chodnik ulicy powinien być wystarczającą rozrywką dla mnie.

W którymś roku dostałem na gwiazdkę książkę p. t. „Dwadzieścia tysięcy mil pod wrdą“ Juliusza Vernego.

Dwadzieścia tysięcy mil pod wodą dla mnie, który nie przeżył mili nawet po powierzchni Sekwany!

Wpadłem w zachwyt. Po całych dniach siedziałem z moją książką przy oknie, ani myśląc wyrzeć na ulicę. Mój wuj, uszczęśliwiony moją statecznością, wdzięcznym wzrokiem spoglądał raz po raz na drogocenne dzieło.

— Zajmuje cię bardzo ta książka mały?

— Oh! Tak, mój wuju...

— Więcej chyba warta, niż uganiecie się z ulicznikami po ulicach, gdzie może cię wypadek spotkać w dodatku.

— Skończę ją czytać niebawem, wuju... — rzekłem z westchnieniem.

— Ach! Czy nie zrobił więcej takich książek ten pan?

— Całe stopy, wuju: „Kapitan Hatteras“, „Od ziemi do księżyca“, „Dzieci kapitana Granta“.

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! — zawołał mój poczciwina, zacierając ręce.

I, ledwie, że kapitan Nemo wpadł w Maelstrom, znalazłem na moim stole „Piętnastoletniego kapitana“. Mój wuj zamówił ryczałtem wszystkie „Nadzwyczajne podróże“ u pośrednika księgarskiego, naszego sąsiada.

Odtąd prowadziłem równie siedzące życie, co i mój zany opiekun, korzystając z każdej chwili wolnej dla pożerania mych książek, marząc na jawie o zstąpieniu do wnętrza ziemi, spacerach ku gwiazdom. Morze jednak najwięcej pociągało mnie i byłbym się chętnie zgodził na wieczną nie-

wolę w owym cudownym Nautilusie, ażeby móc również żeglować po oceanach. Mój wuj winał sobie strategii.

— Nie opuszcza domu! — powtarzał uszczęśliwiony.

Ja tymczasem nigdy nie byłem dalej od domu, jak w owe czasy. Juliusz Verne bowiem obrzydził mi do reszty zawód proząiczny, sądzony mi od urodzenia wprawdzie, ale do którego nie czułem skłonności. Zaden z bohaterów jego nie był bandażysta!

Argument ten, bardzo ważki dla mnie, mógł nie trafić do przekonania memu wujowi - opiekunowi, uważając więc za bezużyteczne popisywać się z nim, wilją aktu wtajemniczenia mnie w tajniki gutaperchy (gutaperki) i szelek higienicznych, zemknąłem, pozostawiając patetyczny list, oznajmiający w dość niezdamny sposób moje nie dające się pokonać, powołanie.

Juliusz Verne był winowajcą!

Podczas kiedy wuj mój, rzucił prawdopodobnie przekleństwa na jego głowę, jechałem do Havre z sercem równie jak kieszeń, lekkim. Ledwie wysiadłszy na peron dworca, szukałem wzrokiem fal, spodziewając się, że ujrze je rozbrzydzące się



aż ku poczekalniam. Wskazano mi tramwaj, którym mogę się dostać na plażę... Był to pierwsze moje rozczarowanie.

Długie, stokroć gorsze, czekało mnie, skoro stanąłem w obliczu tego obrzymiego obrusa płynnego, jednolitego, jak zwierciadło, dzierganego kilku zaledwie srebrzystymi barankami. Trafiałem bowiem na zupełną ciszę, ja, który wyobrażałem sobie morze, wzburzone z burzami, wysokimi na dwadzieścia metrów, co najmniej.

Trwałem, mimo to w postanowieniu zostania marynarzem i udania się w daleką podróż morską.

Wziewszy na odwagę, zbliżyłem się do starszego marynarza, przechadzającego się z fajeczką w ustach i przedstawiłem mu nieśmiało mą prośbę.

Zmierzył mnie od stóp do głów oczami, pytając:

— Uciekłeś z Paryża, nieprawdaż?

— Tak.

— Wracajże czem prędzej do domu, póki cię żandarmami nie odstawią, chłopczel! I zawróciwszy na pięcie, odszedł, śmiejąc się.

Nagle zdarty głos szepnął mi do ucha:

— Ja ci to zalatwię.

Był to młody chłopiec o pomazanej twarzy i brudnym trykocie, który od pewnego

czasu kręcił się koło mnie. Wyglądał na kominiarza raczej, aniżeli na majtkę, ale wytłumaczył mi, że jest przy palenisku i że mnie tam zamieszkuje. Muszę jednak pozbyć się przedtem mego mieszczańskiego ubrania.

— Trzeba na to trochę pieniędzy... — dodał.

— Mam — odparłem nieogłędnie.

Mój nowy przyjaciel ucieszył się najwidoczniej i gorliwiej jeszcze zajął się moją osobą. Zaprowadził mnie do okropnego handeciarza, gdzie zamieniłem mój garnitur z cietkiego sukna na występięte spodnie i spłowiały trykot. Wziął moją portmonetkę z pieniędzmi do kieszeni, oznajmiając mi, że będzie odtąd prowadził moją kasę, poczem zawiółł mnie do szynku portowego, w którym zaciągano się — jak twierdził — do marynarki.

Byłem tak zniechęcony i tak zmęczony, że nie stawiałem oporu. Siedziałem niebawem przy stole w towarzystwie kilku wisusów w rodzaju mego przyjaciela przed dzbankiem cydru i butelką starego Calvadosa, które oszłomiły mię do reszty. Trzeba było przecież okupić mój wstęp do służby morskiej! Okupiłem go też wszelkimi sposobami!...

Skoro obudziłem się z ciężką głową i nudnościami (choroba morska prawdopodobnie) leżałem w ciemnym pokoju i zdawało mi się, że czuję kołysanie okrętu. Niema wątpliwości: podpisałem, wsadzono mnie na okręt śpiącego!...

Jestem marynarzem!

Beznadziejna rozpacz ogarnęła mi duszę i puszczając w niepamięć moje bohaterkie zamierzenia, wybuchłem łkanie.

— Antośku! Moje dziecko!

Głos mego wuja! Jestem w jego objęciach! Co za radość!

Opuścił, jak się później dowiedziałem, swój dom i sklep, udając się na poszukiwanie swego zbiegłego pupila. Jechał wślad za mną i znalazł mnie wreszcie... w szynku i... jakim stanie!...

Znajdowałem się w jego numerze w hotelu Frascati. Patrzałem na jego dobrą twarz, załaną łzami i pochyloną trwożnie nad mną:

— Błagam cię, mój kochany Antośku, nie odjeżdżaj — prosił ten najlepszy z ludzi. — Będziesz robił, co zechcesz... Skoro zawód mój nie jest ci po myśli... Nie będziesz... bandażystą (ciężkie westchnienie). Ale musisz mi obiecać, że nie zostaniesz marynarzem.

Marynarzem? Broń Boże! Dość już nawiązałem się strachu!

W godzinę potem pędziliśmy w stronę Paryża: po takich tarapatkach bowiem mój opiekun pragnął co prędzej znaleźć się w swym sklepie z bandażami, przy swej drogiej ulicy Saint-Denis i kiedy go spytano:

— Widziałeś przynajmniej morze, panie Laplume?

Odpowiedział najwinnie:

— Nie, jak mi Bóg miły. Nie spojrzalem na nie!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 14-go kwietnia 1929 r.

Nr. 15.

Łódź na międzynarodowym kongresie lokatorów w Pradze.



Zrzeszenia lokatorów okazują dużą żywotność, jako silna i zespólona organizacja społeczna zarówno w Polsce, jako też zagranicą. Dowodem tego był międzynarodowy kongres przedstawicieli tych organizacji w Pradze, odbyty w dniach 15, 16 i 17 marca r. b. Polskę na kongresie tym reprezentowali pp.: dr. Mierzyński, D. Konarski i J. Haneman. Na zdjęciu powyższym liczna grupa uczestników kongresu w sali obrad.

Fot. A. Mayer.

TEATRALIA

„Cień“ Nicodemi'ego. — W Wiedniu, Paryżu i — gdzie indziej. — Teatralne mi-gawki amerykańskie.

Teatr krakowski wystawił nieznaną bo-daj w Polsce sztukę Daria Nicodemi'ego, p. t. „Cień“, może nawet ciekawszą w pomy-sle i fakturze, niż popularny „Świt, dzień i noc“. Sztuka to jeszcze przedwojenna, posiadająca mimo to pewną świeżość inwen-cyjną i dużo wyrazistej, psychologicznej prawdy. Istotą konfliktu dramatycznego jest przewlekła choroba bohaterki, żony malarza paryskiego, Tregni'era, która — na skutek swego niewytłumaczonej natury cierpienia — odchodzi zupełnie od życia, stając się nikłym tylko cieniem pięknej, peł-nej radości istnienia, kobiety. W ciągu sześciu lat choroby Berty, inna kobieta zdążyła zająć jej miejsce u boku męża, da-jąc mu szczęście domowego pożycia, spokój, dziecko. Jak się to jednak dość czę-sto w wypadkach uporczywych zaburzeń nerwowych zdarza, Berta nieoczekiwanie odzyskuje zdrowie. Niestety, ocknąwszy się z niemocy, znajduje wokół siebie tylko ruinę dawnej egzystencji, z której nie da się już dźwignąć zamków pięknych marzeń. Z tej niezwyklej sytuacji życiowej może wywieść Bertę jedna tylko droga, — droga rezygnacji i pogodzenia się z losem, który sprawił nieszczęśliwej najgorsze o-krucieństwo — wyzdrowienie nie w porę i bez potrzeby. W tej ładnej i dobrze zro-bionej sztuce Nicodemi'ego popisała się świetnie, jako Berta, utalentowana artystka sceny krakowskiej, p. Jaroszevska, zy-skując wiele pochwał i zasłużonych słów uznania.

A propos autora „Cienia“ otrzymujemy interesującą wiadomość, że Nicodemi po-stanowił poświęcić się dziennikarstwu i o-bjąć stanowisko paryskiego koresponden-ta wielkiego dziennika włoskiego „Corriere della sera“.

W wiedeńskim teatrze Reinhardta grana jest obecnie ku zadowoleniu świetnie ba-wiącej się publiczności sztuka austriackiego autora, Stefana Kamare, p. t. „Len z Irlandji“. Osłą dowcipnych powikłań tej kome-dji jest sprawa importu lnu do przedwojen-nej Austrii, sprawa, w której ścierają się sympatie i zainteresowania ministra prze-mysłu i handlu — Czecha i jego przyboz-znego referenta — austriackiego Niemca. Te narodowościowo - lniane konflikty nie-boszczki maddunajskiej kończą się zresztą dzięki pośrednictwu jakiegoś bałkańskiego (!) dziennikarza, zgodnym łkompromisem, przypieczętowanym małżeństwem pana re-ferenta z córką ministra. Sztuka, pomimo nudnawego pozornie tematu, ma dużo hu-moru i werwy, a świetny aktor Kurt Bois w roli owego egzotycznego dziennikarza jest bodaj, głównym filarem wyjątkowych sukcesów (150 przedstawień!) „Lnu z Ir-landji“.

Cenzura niemiecka, naogół dość libe-rałna i wyrozumiała pod względem oby-czajowym, posiada wiele drażliwości poli-tycznych, dynastycznych, militarnych, któ-re przy pierwszej lepszej okazji wychodzą najaw, jak przysłowiowe sztyldo z worka.



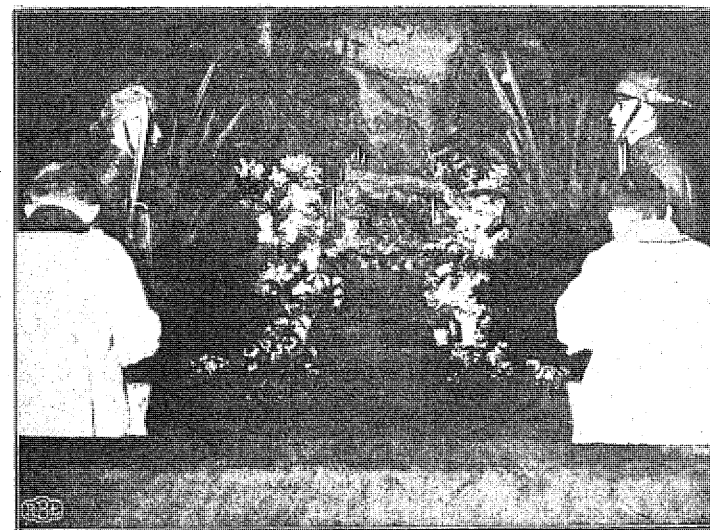
W dniu 21 b. m. w Teatrze Miejskim w Łodzi odbędzie się popis ucze-nic szkoły rytmiki i plastyki p. St. Paszkówny. Powyżej p. Stefania Paszkówna, kierowniczka szkoły, w plastycznej pozie tańca.

Młody autor niemiecki, Lamp, biorąc a-sumpt z pamiętnego wybuchu gazów trują-cych w Hamburgu, napisał sztukę o fosge-nie, obrazującą katastrofalne niebezpieczeń-stwa wyrobu tego gazu i rozpowszechnia-nia go dla celów wojennych. Policja ber-lińska jednak — ze względów swoiście po-jętego „patriotyzmu“ — zakazała wysta-wienia sztuki Lampa, uważając widocznie, że fosgen jest niejako narodową „święto-ścią“ niemiecką, której szargać po wido-wiskach teatralnych nie należy.

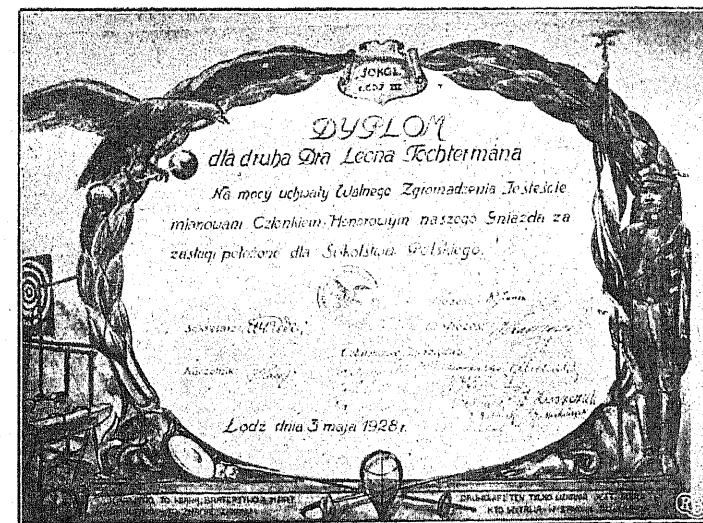
Paryski „Gymnase“ wystawił najnowsza sztukę znanego autora, Henryka Bernstei-na; zatytułowaną „Melo“. Doskonałość tech-niki Bernsteina, umiejętność wiązania dialogu, teatralna wyrazistość psychologi-cznych konturów bohaterów i w tej prem-jerze święcą triumfy. Bardzo wartka i ży-wa akcja toczy się w środowisku artystów muzyków, przerabiających rzeczywistość

na treść duchowych przeżyć w sposób nie-powszedni i oryginalny. „Melo“ stała się jednym z wybitniejszych wydarzeń teatral-nych sezonu, w czym zresztą leży spora część zasługi uroczej pani Gaby Morlay.

W kronice poprzedniej przytoczyliśmy wielce dosadną charakterystykę stosunków teatralnych w Ameryce Północnej, pióra jed-nego ze znanych łamtejszych krytyków. Jako pendant do tej — dość miarodajnej chyba opinii — przytoczymy dwa wdzięcz-ne obrazeczki, z życia nowojorskich scen bez retuszu wzięte. Oto w jednym z tea-trów brooklyńskich rozegrała się niedawno formalna bitwa pomiędzy uzbrojoną bandą napastników na... kasę teatralną, a oddzia-łem policji. Po bardzo ożywionej wymia-nie strzałów w poczekalni i foyer bandyci zdołali uciec w samochodzie, zabierając na pamiątkę ładną sumkę kilku tysięcy dola-rów. Tego rodzaju niespodziewane „inter-



Wieńkanocne echa. Majestatyczny grób w kościele św. Krzyża, tonący w powodzi żywego kwiecia. Bliżej warty honorowe przysposobienia wojskowego młodzieży.



Dr. Leon Tochterman otrzymał wyżej podany dyplom na honorowego członka III-go Gniazda Tow. Gimnastycznego „Sokół“ w Łodzi.

mezza“ w teatrach europejskich, o ile nam wiadomo, dotychczas zdarzać się nie zwykły... A teraz migawka o innym całkiem nastroju i — charakterze. Podczas przed-stawienia w jednym z teatrów nowojor-skich jakiejś leciutkiej komedijki wkroczy-la na scenę... policja, aresztując — bynaj-mniej nie poszukiwanych przestępców, lecz cały zespół grających. Za co? Za obrazę moralności publicznej, albowiem w jakiejś scenie plażowej panowie i panie, występu-jący na scenie, pokazali dekolty, podobno znacznie niższe od obecnej wygór... nie — wydolowanej normy. Część publiczności (prawdopodobnie część niewielka) przyjęła te popisy nagości bez entuzjazmu, a prote-stem żywym i głośnym. Skandal, hałasy, interwencja policji — i tak dalej, aż do następnej nocy... Takie i tym podobne hi-storyjki, zdarzające się zwłaszcza w mniej-szych teatrach amerykańskich, dość często, są przykładem pierwotności kultury sceny i publiczności, a dokumentują, jak i wiele innych zjawisk pustkę moralną zbiorowej mechanizacji i materializacji życia Nowego Świata.

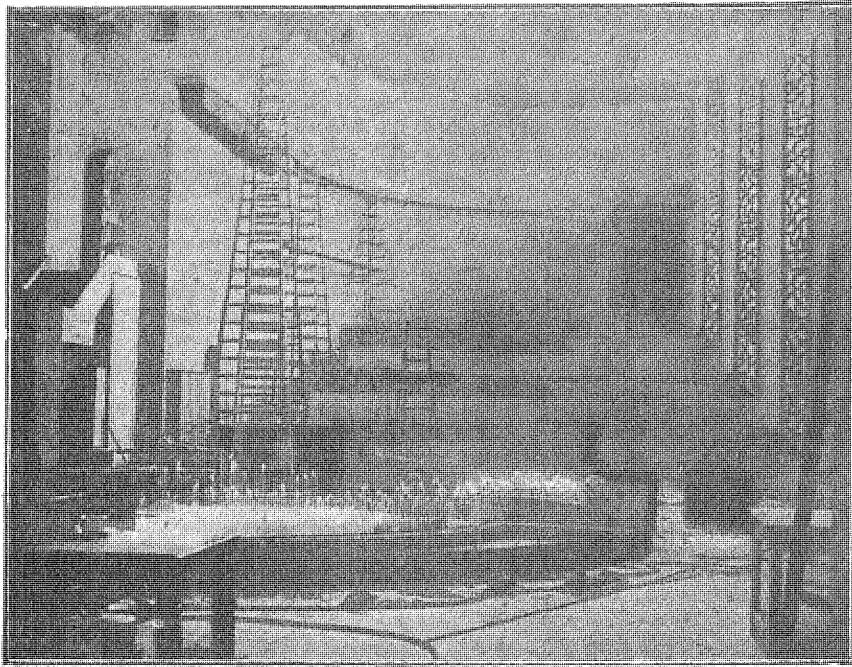
Delta.



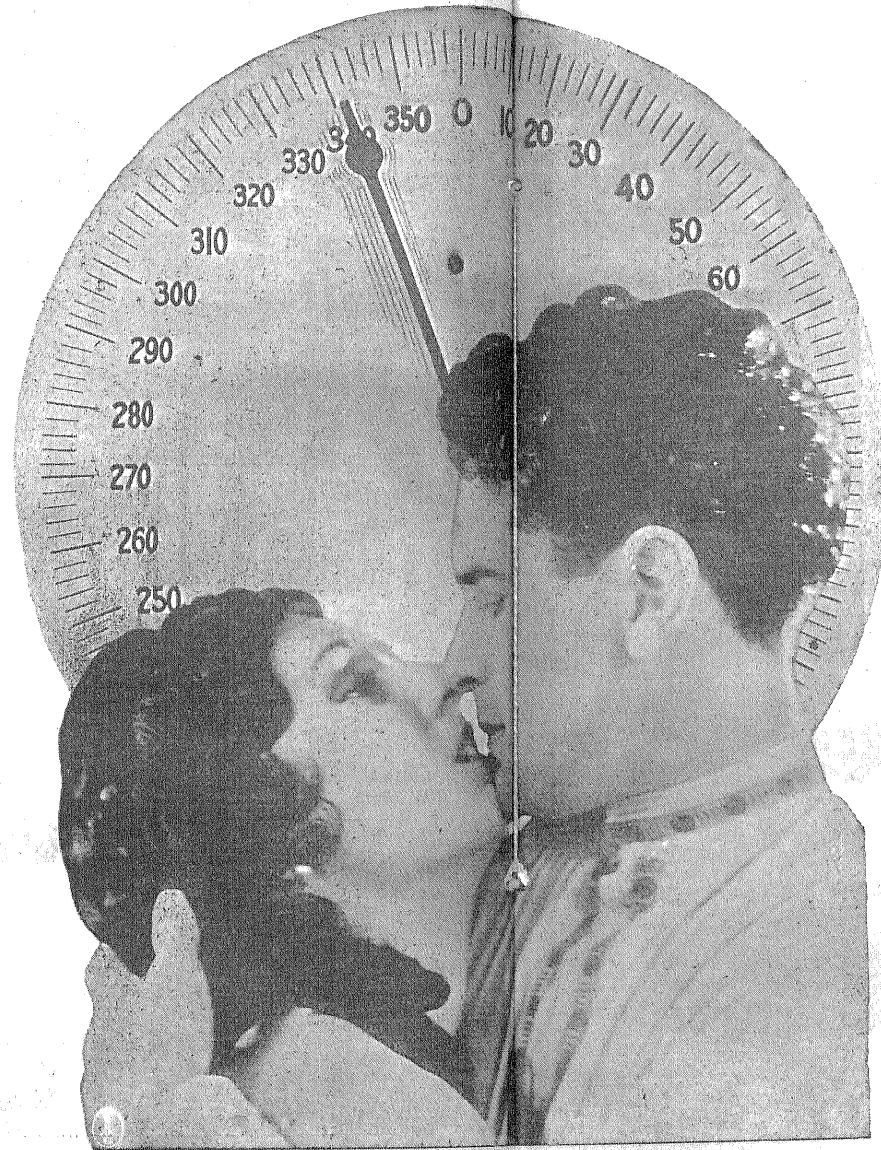
W dniu 4-go kwietnia r. b. odbyło się w kościele Przemie-nienia Pańskiego poświęcenie tablicy pamiątkowej, wmu-rowanej ku czci ś. p. ks. kanonika Ryszarda Malinowskiego, b. proboszcza tej parafii. Powyżej tablica pamiątkowa z podobizną zmarłego kapłana.



Nad mogiłą ś. p. ks. kanonika Ryszarda Malinowskiego. Grono kolegów i przyjaciół zmarłego kapłana na tle murów kaplicy cmentarnej. Fot. A. Mayer.



Jak powstaje film. Powyższe zdjęcie przedstawia kulisy wytwórni w czasie nakręcania filmu „Szampan”. Uwagę zwracają monumentalne dekoracje, zbudowane specjalnie dla realizowania zdjęć.



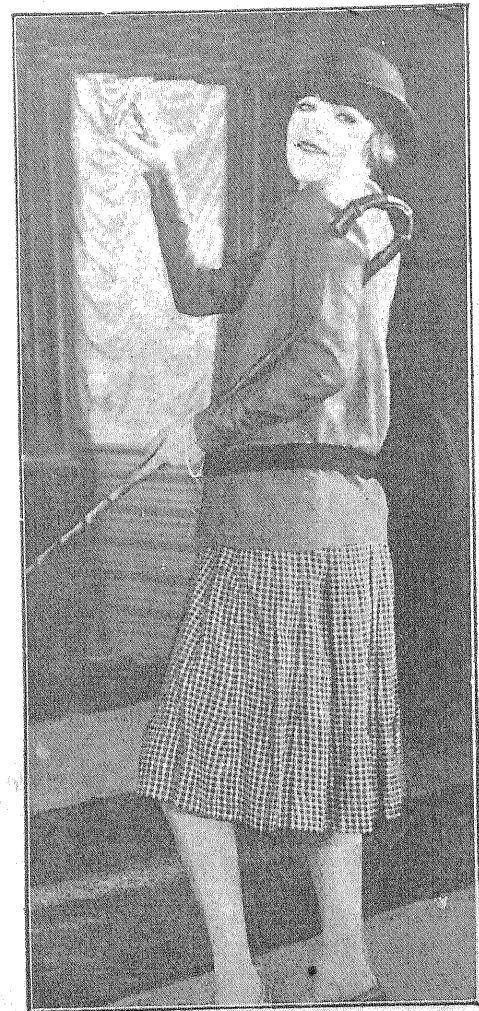
Wytwórnia „Metro-Goldwyn” kosztem wielkich nakładów zrealizowała obecnie wielki film p. t. „Złote niebezpieczeństwo”, w którym główne role odtworzają mało znani w Polsce artyści amerykańscy Anita Paige i William Haines.



Ulubiona artystka komedjowa, Laura La Plante w swej najnowszej kreacji w filmie „Okręt pokusy”.



Mary Prevost i Charles Ray w nowych kreacjach.



Helena Hallier w dowcipnej roli „Panny-Mamy”.



Florence Vidor, partnerka Emila Janningsa w jego najnowszym filmie p. n. „Intrygant”.



Marcelina Day i Ralph Forbes w filmie wytwórni „Metro” p. n. „Wojna i miłość”.



Betty Compson i Kenneth Harlan w obrazie p. n. „W sidłach grzechu”.



Simona Generois, znakomita artystka francuska, jako Joanna d'Arc w filmie p. n. „Dziewica Orleańska”.



Towarzystwo Śpiewacze im. Menniszki w Łodzi zwyczajem dorocznym urządziło tradycyjne „jajko” wielkanocne dla swych członków, których grupę widzimy na zdjęciu powyższym.



Ochrona mostów w Sieradzu. Oddział kpt. Wadzińskiego z 28 p. Strzelców Kamiowskich na posterunku.



Iza Norska, uroczą łodzianką, wschodząca gwiazda na firmamencie filmu polskiego, kreująca główną rolę Krysi w nowym filmie polskim p. n. „9—25 czyli przygody jednej nocy”.



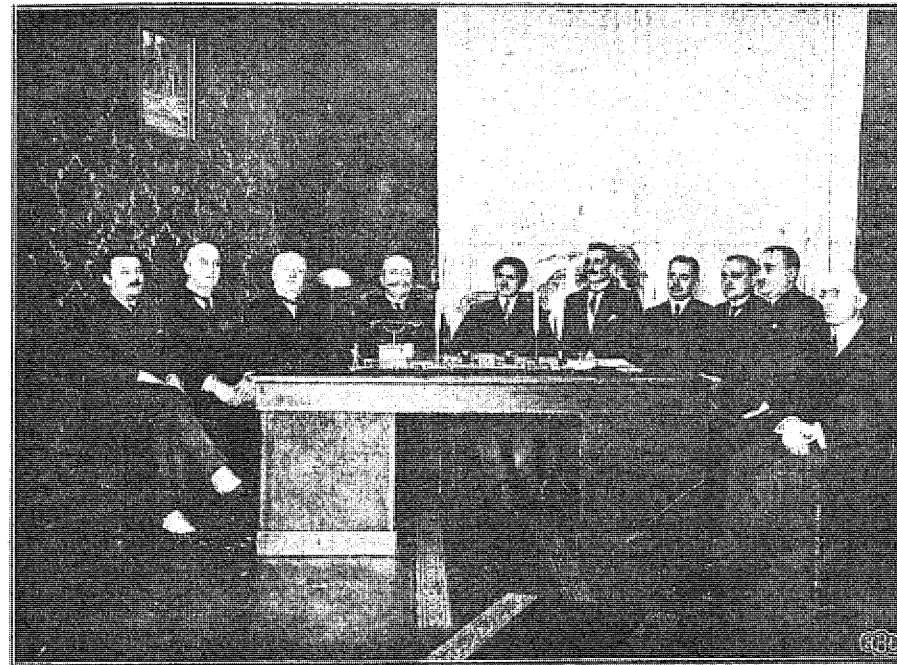
Harry Cort w roli tajemniczego podróźnego w filmie polskim p. n. „Przygody jednej nocy”.



Pogotowie przeciwpowodziowe przy pracy. Żołnierze na łódce strzegą wybrzeży rzeki Warty.



Tradycyjne „jajko” w Towarzystwie Śpiewaczym im. Chopina. Na zdjęciu grupa uczestników tej tradycyjnej bielszady. Fot. A. Mayer.



Uroczyste pożegnanie wiceprezesa Sądu Okręgowego w Łodzi p. Bronisława Witkowskiego, przechodzącego na stanowisko pisarza hipotecznego. Powyżej p. wiceprezes Witkowski w otoczeniu kolegów-sędziów i prokuratorów z p. prezesem Belżyńskim na czele.



Najpiękniejsza blondynka Hollywood'u — Ruth Taylor, złotowłosa gwiazda filmowa.



Tadeusz Ordey w roli lamy tybetańskiego w nowym wielkim filmie polskim p. n. „Przygoda jednej nocy”.



Świetna gwiazda ekranów paryskich, Lucienne Lagrange, w filmie p. n. „Księżna Edyta”.

RICARDO BALSAMO-CRIVELLI.

Dzień Rozyny.

Stara Anastazja przygarneła ją jako małe, sieroczone dziecko, nie z litości, ale ponieważ żyła sama jedna w swej chatce na skraju wsi i czuła, że nadchodzą pierwsze dolegliwości ostatnich lat życia, więc potrzebna jej kogoś, kto by zczasem mógł jej pomagać.

Ale wychowywała ją, jak się dało, na kromkach suchego chleba i kukusiacach, a

gdy dziewczyna skończyła lat piętnaście, oddała ją do fabryki.

W dusznym powietrzu tkalni twarz dziewczynki żółkła. Jedyne jej rozrywką było śpiewanie litanji z towarzyszkami podczas wyciągania mitek jedwabiu; towarzyszkami, oczywiście, były prawie wszystkie imiej lub więcej zakochane: Franek, Józek, Romek itd.; wieczorem, przy wyjściu z fabryki, zanim powróciły do domu, rozprasały się wzdłuż drogi, aby trochę poszeptać przy świetle gwiazd.

Rozyny miłk nie chciał, dlatego, że była znajdką i bez grosza. Ale wiedziała przecież, że jest ładna i apetyczna, a rozkwitłaby jeszcze piękniej, gdyby nie była zamknięta w tej dusznej fabryce.

* * *

Gdy zrozumiała, że na świecie potrzebne są pieniądze i nic więcej, postanowiła je zdobyć i ją rozmyślać, jak to zrobić; ale nie mogła znaleźć sposobu.

W niedzielę siadała przed domem, zało-

zywyszy ręce, a wtedy Anastazja stała ją lałala.

— Ja — odpowiadała dziewczyna — odpoczywam w święto.

— W święto — wrzeszczała Anastazja — masz usługiwać mnie; ja cię przygarne-lam i dala ci pierwszy keś chleba.

Więc pewnego poranka o świcie, nie zdając sobie zgoła sprawy z tego, co robi, pełną ścieżyną skierowała się ku pobliskiej stacji.

Po drodze spotkała Romka, który chciał ją uszczypnąć.

— Jesteś ładna, Rozyno i podobasz mi się.

— Jeśli się ze mną ożenisz i zabierzesz mnie z fabryki i od starej, to będę cię ko-chała.

— Zarty — odparł chłopak — a pie-niążki?

Właśnie, by je zdobyć, Rozyna uciekała z wioski. Miała przy sobie parę groszy, kupiła bilet i za pół godziny znalazła się w mieście.

A miasto budziło się dopiero: tramwaje, wózki, powozy. Rozyna była ogłuszona i straciła głowę; nareszcie znalazła się w jakimś parku, gdzie usiadła na ławce i ciężko wzdychając myślała przytem o Romku i gryzła kromkę chleba.

Powoli aleje parku zapełniły się dziećmi, a z dziećmi przyszły matki i nianie.

Niedaleko od niej usiadły na ławce dwie panie.

— Jestem w rozpacz — mówiła star-sza — nie mogę znaleźć służącej.

— Ja — odparła druga — wyrzekłam się jej na zawsze. Jest nas tylko dwoje w domu.

— Ale ja mam przecież dziecko i mie-szkanie większe, niż twoje. Karolku uwa-żaj: upadniesz.

Istotnie, Karolek wdrapał się na poręcz ławki i stąd buch! na ziemię.

Rozyna przybiegła pierwsza, podniosła chłopczykę, otarła mu buzię, oczyściła ubranko i podała matce.

Karolek płakał, a zniecierpliwiona ma-musia rzekła do przyjaciółki:

— Widzisz, ile czasu zabiera mi ten lo-buz!

— Proszę pani — odezwała się Rozy-na — ja mogłabym być tą, której pani szu-ka.

— Kto jesteś? — spytała pani.

Rozyna na oczekaniu ułożyła sobie ca-łą bajkę: że była biedną, wiejską sierotą, przybyła do miasta w poszukiwaniu pracy.

— Ale gdzie mieszkasz w mieście? — podejrzliwie spytała matka Karolka.

— Mieszkam — odparła Rozyna — na takiej ulicy, pod takim numerem, w domu starej ciotki (tu podała nazwisko), która mnie bije i nie chce utrzymywać. Jeśli mnie pani przyjmie — dodała — nie będę żądała dużej pensji.

— A co umiesz robić?

— Umieję ślać łożka, trochę gotować i prać.

— Jeśli to prawda, to jesteś perłą, któ-rej poszukuję.

— Ale — rzekła przyjaciółka — a infor-macje?

— Po informację — przerwała Rozy-na — miech pani idzie do mojej ciotki: jest znana na całej ulicy, bo zapomniałam po-wiedzieć, że ma swój sklep.

— Jaki?

— Mleczarnię.

— Wiesz co, — rzekła matka Karolka do przyjaciółki — spróbuję; w najgorszym razie dam jej szcztokę do ręki, miech za-miata i wyciera.

Tymczasem słońce wzniosło się wyso-ko i nadeszła pora obiadu. Więc obie pa-nie powstały. Mama Karolka przywołała Rozynę i rzekła:

— Chodź ze mną.

Dziewczyna nie kazała sobie tego po-wtórzyć dwa razy.

— Ach! słuchaj — rzekła przyjaciółka — łoża...

— Jeśli będzie, zatelefonuję ci, albo po-ślę ci tę dziewczynę, bo telefonu jeszcze-ny się nie dorobili.



Łoża była: bilet przyniósł mąż, który oszukiwał żonę i dlatego był pełen galan-terji dla niej.

— Niespodzianka za niespodziankę — rzekła żona, ściskając go — spójrz, kogo sprowadziłam do domu. Istną perłę.

— Doskonale — odparł mąż, z uśmie-chem patrząc na dziewczynę — jeśli znasz robotę, to w naszym domu znajdziesz szczęście.

— Mnie wystarczy — odparło bieda-two — jeśli znaję chleb.

— A potem — wtrąciła pani — pokażę ci, jak trafić do mojej przyjaciółki, napiszę jej, że ją zapraszam do łoży.

— Ach, jeśli zabierasz przyjaciółkę, to ja skorzystam z tego i pójdę jeszcze raz do biura. Za „dodatkowe“ godziny płacą pod-wójnie, więc zarobię jeszcze trzydzieści lir. A dzisiaj — przecież to koniec miesią-ca — przyniosłem tysiąc dwieście lir.

Uradowani zasiedli do stołu.

Po obiedzie pani zawołała Rozynę i wy-szła z nią na balkon.

— Widzisz tę ulicę?

— Widzę.

— Widzisz tramwaje, jedne idą w tę stronę, a drugie w przeciwną: musisz sta-mać po tej stronie. Gdy zobaczysz numer I, wejdź do niego. Masz tu pieniądze na bi-let i temu panu co ci da bilet pokaż tę kart-

kę na której wypisałam ulicę i numer doma i poproś, żeby ci wskazał, gdzie masz wy-siąść. Czy zrozumiałaś?

— Tak, proszę pani.

— Ja napiszę liścik, a tymczasem ty, weź szcztokę i sprzątnij pokój sypialny.

Ale do sypialni wszedł pan domu, który rzekł do żony, całując ją:

— Pieniądze są w tej szufladzie, wiesz, że nie lubię spacerować z tysiączkami w kieszeni.

Rozyna była w korytarzu i miała szcztokę w rękę.

— Wiedz — mówiła pani, pisząc list — że zaraz wychodzę z domu, by zasięgnąć o tobie języka u twojej ciotki.

— Proszę powiedzieć ciotce — zawoła-ła Rozyna — że jestem tu od godziny, a już mi się zdaje, że dostałam się do raju.

— Dobrze — odparła pani, śmiejąc się i zasiała do biurka.

Rozyna chwyciła za szcztokę i w ten sposób dostała się blisko stoliczka, gdzie pan złożył pieniądze.

Z otwartej szuflady wyglądały na świat boży te papierowe szmatki: było ich siedo-m czy osiem.

Rozyna pochwyciła je w garść i wsunę-ła do kieszeni, gdyż te papierowe szmatki mogą skusić i mocniejsze mózgi, niż mózg biednej Rozyny.

Potem wzięła od pani list; uważnie wy-słuchała wskazówek, kilkakrotnie powta-rzanych i wyszła.

Na ulicy podniosła głowę, czuła bowiem, że pani patrzy na nią z balkonu, więc wsiad-ła do tramwaju Nr. 1; przejechała kilka-set metrów i zapytała:

— Czy tedy jedzie się na stację?

— Przeciwnie — odpowiedzieli jej. — Trzeba wsiąść w numer 2.

Zatrzymano tramwaj: wskoczyła do nu-meru 2 i zajęła na stację.

Pociąg prawie odchodził, więc wskoczy-ła do wagonu i powróciła na wieś.

Zmierzchało już, gdy przybyła i słyhać było bicie dzwonów za kołającego.

Przyśpieszyła kroku i w uliczce spotka-ła przyjaciółki.

— Gdzie się podziewasz, gdy stara two-ja kona?

— Też mi nowość — odparła Rozyna — przecież męczy się już od samego rana. Byłam właśnie w mieście po doktora.

Stara umarła w nocy: pozostawiła do-mek, łożeczko, dwa stoliki i trochę garn-ków.

Spadkobierców nie było Rozyna odzie-dziczyła wszystko.

Mówiła do ludzi:

— Patrzenie, jak stara ciułała pieniążki dla siebie i dla mnie, pod cegłą znalazło się grosiwo.

Więc Romek stanął na progu, wsunął głowę i rzekł

— Ja obstaję przy tem, co mówiłem tamtego ranka.

Tym. E.



Rok VI.

Niedziela, 21 kwietnia 1929 r.

Nr. 16.

Urok i poezja wiosny.



Znekani długotrwałą zimą i mroźną wiosną mieszkańcy miast zachwycać się mogą tylko pięknymi zdjęciami, względnie obrazami mistrzów bo w rzeczywistości aura masza jakoś kaprysi. Na zdjęciu jeden z pięknych obrazków rodzajowych wiosny.